

HENRYK HELLER

MATKA i SYN ■ OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

Nie ma kraju skąd nie będę tęsknił
Do dawnych szarych ulic.
Złamię się w żalosci każdy
krok zwycięski
We wszystkim dawność się rozczuli.

Nie ma ziemi, na której
bym spoczął
Bez szarego, dawnego
wspomnienia.
(J. Tuwim)

Raził go każdy przejaw serdeczności, z jakim spotykał się ze strony kolegów, zyskał się, kiedy usiłowano wobec jego postępowania stosować jakąś inną miarę. Nie lubił wprawdzie również takich, którzy często z dumą mówili o swych rodzicach, o rozmowach w domu. Ale już nienawidził wprost wszystkich, którzy choćby przypadkowo dawali mu do zrozumienia, że go żalują.

— W końcu co ich to obchodzi? — myślał z gniewem. — Nie mam ojca, to i moja sprawa. Sam sobie radzę i wobec tego, czego się czepiają.

Tyle, że naprawdę nikt się do niego nie przyłączał. I Jerzy przyznawał to, kiedy złość mijała. Wtedy zdawał sobie sprawę z tego, że wszyscy oni w szkole chcą mu po prostu pomóc. A przecież nie lubił wszelkich tego rodzaju odruchów ze strony otoczenia. Szczególnie zaś nieznośne wydawały mu się rozmowy w czasie przypadkowych spotkań z profesorem — opiekunem jego klasy.

Młody pedagog darzył szczególną sympatią tego skrytego i ambitnego chłopaka. Kiedyś zagadnął go o dom zupełnie przypadkowo i wtedy Jerzy odpał niemal gniewnie: — Niech pan porozmawia z matką — i grzecznie dał do zrozumienia, że musi wrócić do pracy, by powtórzyć ostatnią lekcję z trygonometrii.

Jerzy, uczeń ostatniej klasy Liceum Ogólnokształcącego miał przecież ojca żyjącego, a jakże, tylko że absolutnie go nie znał. Jak tylko sięgał pamięcią z ostatnich lat wojny, zawsze myślał o dniu, kiedy on powrócił. Wyobrażał sobie radość swoją i matki. Często kazała mu się modlić o szczęśliwy powrót tatusia, o jak najszybsze zakończenie wojny i potem rzeczywiście wojny już nie było. Rok 1945. Do miasta wracali z wszystkich stron świata młodzi i starzy. Przyjechało wielu znajomych. Tylko ojca nie było wśród nich. Jerzy miał chyba 6 lat. Pamiętał jeden taki wieczór, kiedy któryś z znajomych przyniósł list. Matka siedziała długo i płakała nad nim. To był list z Anglii. Ojciec zapowiadał w nim, że przyjedzie za kilka tygodni. Może jeszcze zdąży przed świętami. Odtąd już znany był jego dokładny adres. Mieszkał gdzieś na przedmieściu Londynu.

Kiedyś, już jako uczeń gimnazjum, Jerzy wpadł do domu po metrykę, którą trzeba było oddać w sekretariacie szkoły. Matka pracowała do szesnastego w administracji WZA. Przerzucił wszystkie papiery w szafie i w biblioteczce, zamiast potrzebnego dokumentu znalazł spory plik owiniętych w gazetę listów. Pochodziły z Anglii. Ładnym charakterem pisma kreślone słowa zawierały tęsknotę i niepokój.

„Tak chciałbym już być z Wami w naszym kochanym mieście. Ale tak to różnie mówią. Napisz, Mario, czy to prawda. Szczere pisz, co sądzisz. Uściskaj chłopaka, musi być już duży i pewnie podobny do mnie...”

Jerzego opanował lęk, że doznał się do tajemnicy. A potem żal — to ojciec. Jaki on jest naprawdę?

Listy włożył z powrotem nie zamykając nawet szuflady. Wyglądał jak szalony na ulicy.

„Uściskaj chłopaka... podobny do mnie... — gonili za nim słowa z dalekiej Anglii.

Z matką nie rozmawiał o swym odkryciu. I tak wiedział o tym. Spoglądała synowi w oczy jakby z niepokojem, bojaźliwie.

Odtąd wyczulony na wszystkie gesty, na słowa wszystkich, Jerzy zamknął się w so-

bie nic nie robi, by skończyć rozłąkę. Jak to się dzieje?

Nie pamiętał, kiedy rozpoczął mówić. Nie wie, czy kiedykolwiek z podobnym żarem prowadził jakiegokolwiek swój wykład. Wiedział jedno: trzeba pomóc tej kobiecie — ratując może w ten sposób szczęście trojga ludzi.

Mówił o wielu latach trudnych, które już są za nami. Wskazywał na pewne błędy — ale też tyle było do zrobienia. Niekiedy żli ludzie świadomie przeszkadzali.

Niewątpliwie nie zawsze odpowiednio traktowano w minionych latach człowieka, naj-mądrzejsze nauki partii pozostawały tylko dla niektórych formalnością, wytycznymi, których lepiej „na wszelki wypadek” nie traktować zbyt głęboko. Bo a nuż przyjdą inne i trzeba się będzie tłumaczyć. Większość z nich można by krótko, acz dosadnie określić: sami nie wiedzieli, że Polska to wielka rzecz, którą trzeba umacniać się z każdym dniem, że nie liczy się na trzy, pięć czy dziesięć lat. Ze z każdym rokiem jesteśmy bliżej swych celów, dokładniej realizujemy szczerne zadania służenia narodowi i ludzkości. Potwierdza się prawda, że droga Polski jest słuszną — jedyną.

Chcemy by wszyscy Polacy — gdziekolwiek są — wracali do kraju; razem pracować dla swoich, dla siebie i dzieci. Im później wróci ojciec Jerzy, tym głębiej odczuwać będzie żal, że tak mało zrobił w najtrudniejszych latach naszej historii. Jak wielu jeszcze, jemu podobnych, pozostaje na obczyźnie, ulegając złym podszeptom, zdezorientowani — nie znają prawdy o kraju. To niełatwa decyzja — trzeba więc, żebyśmy my, z Polski, pomogli w podjęciu tego ważnego kroku — by oni tam zrozumieć, że nie wolno czekać...

Maria spuściła głowę na pierś. — Tak — zakończył profesor po długiej chwili milczenia — to było chyba niedobre czekanie... Tego roku, w czerwcu, Jerzy zdał maturę. Już studiował na Politechnice. Bardzo się spieszył, kiedy wyskakując z tramwaju na Rynek wpadł na dawnego swego wychowawcę. — No, to trudno powiedzieć — wyjął zaskoczony spotka-

niem. Dopiero początek — pierwsze miesiące przecież — odrzekał, zapytany o postępy w nauce. I potem jakby nie wytrzymał, wyrzucił raptem z siebie radosne: — A, panie profesorze, mój ojciec ma wrócić.

— Na pewno? — zdziwił się wychowawca.

— Wszyscy znowu wracają! — odparł Jerzy.

— Porozmawiaj... niech pan porozmawia z matką — poprawił się nauczyciel.

Dopiero po wykładach przypomina sobie Jerzy słowa profesora z liceum, przyspiesza kroku — to dziś imieniny matki. W domu zastał już kilka pań, ciotki i jakieś przyjaciółki sprzed wojny. Od chwili

(Dokończenie na str. 2)



Rys. L. Kapczyński

NOC W BETLEJEM

Louis Fürnberg

Louis Fürnberg, ur. w 1909 r. na Morawach w Czechosłowacji, jest współczesnym pisarzem i poetą niemieckim, autorem wielu przekładów z języka czeskiego na niemiecki. Będąc od 1928 roku członkiem KPCz — Fürnberg rozwijał ożywioną działalność polityczną i kulturalną. Lata faszystowskiej okupacji pisarz spędził do końca 1945 roku na emigracji w Palestynie (skąd nienajmniej reportaży), jak wielu wybitnych autorów niemieckich. Fürnberg po wojnie przyjął obywatelstwo Niemieckiej Republiki Demokratycznej i mieszka w Weimarze. Polskim czytelnikom znany jest jako autor „Spotkania w Weimarze”, opowiadania poświęconego wizycie Mickiewicza u Goethego.

W tej chwili panowała jednak głęboka noc, na niebo palestyńskie wyszedł nieprawdopodobnie wielki, lśniący księżyc i upiększył wszystko dookoła. Zanurzył winnice w bladej poświacie jak w śniegu, chaty i domki przemienił w królewskie pałace Dawidowego miasta, rozpostarł błyszczący dywan na ziemi, zaczął wchodzić na ulicach i balustrady. Ponad zboczami, polyskującymi grą szarych i błękitnych cieni, wysoko wznosiły się na tle szklistego nieba potężne mury bazyliki Bożego Narodzenia.

Równie piękny był chyba tylko Bagdad z „Tysiąca i jednej nocy”.

Nie silił się szosa, ale bocznymi ulicami, co okazało się bardzo rozsądne, bo pozwoliło nam snuć marzenia. Kiedy nagle znaleźliśmy się na wolnym placu przed kościołem, doznaliśmy niemiłego wstrząsu. Nie otoczył nas bowiem biblijny zapach ambry, lecz... swąd tłuszczy baranów i owiec, pieczonych na rożnach. Arabscy handlarze porzucali wszędzie swoje stragany. W rogu jarzyły się naczynia z płonącym nawozem wielbłądów, nad którymi pieczono kawałki mięsa. Nocny jarmark. Anglicy, Amerykanie i Francuzi krzyżowali się, gadali, hałasowali, kłócili się i bili, z dziecinnymi trąbkami i grzechotkami w rękach, z czapkami karnawałowymi na głowach. Butelki po winie, wodzie sodowej i whisky wylatywały raz po raz w powietrze, a kto nie był dość sprytny, by na czas uskoknąć, dostawał się niebawem do jednego z ambulansów, które z trudem torowały sobie drogę przez tłum, trąbiąc bez przerwy.

Była gołota i wóz mocno zarzucał na zakrętach, ale w końcu dotarliśmy szczęśliwie do szosy betlejemskiej, przecinającej kamienne pustkowienie i wpadliśmy w sam środek niekończącej się karawany samochodów. W wielkich autobusach transportowych siedzieli angielscy i amerykańscy podoficerowie od kaprala wwyż, którzy w stanie trzeźwym nie doczekali nawet nabożeństwa. Dziewczęta z brytyjskiej służby pomocniczej, ich eleganckie koleżanki z USA i oficerowie jechali autokarami turystycznymi.

Przed małym meczetem, zwanym Grobem Racheli, musieliśmy się zatrzymać na skrzyżowaniu dróg. Marznął i kłinał na czym świat stoi, czekaliśmy tak bitą godzinę, ponieważ sfozerowi samochodu jadącego przed nami zachciało się nagle zawrócić, przez co powstało tragiczne w skutkach zamieszanie. Wreszcie zrezygnowaliśmy z bezna- dzijnego czekania, bo nie zanosilo się na szybkie zlikwidowanie zatoru. Postanowiliśmy odbyć dalszą drogę pieszo. Tak więc nie żałując soczystych epitetów i drząc z zimna, ruszyliśmy w stronę Betlejem.

Znałem już przedtem Betlejem, ale widziałem je tylko we dnie. Nie jest ono ładnym miastem. Właściwie w ogóle nie jest miastem. Betlejem, to raczej rozległa wieś z ogromną ilością sklepów z pamiątkami, w których można kupić żłobki, książki do nabożeństwa i „Pieśń o Bernadecie” Franciszka Werfla. W żłobkach leżą małe angielskie książeczki, a rysy twarzy św. Józefa przypominają do złudzenia... Winstona Churchilla.

(Ciąg dalszy na str. 2)



Rys. L. Kapczyński

Świąteczna idylla

Przed świętami, wiece sami,
Człowiek się nadziejami,
Że odpocznie w domu, no i
Nerwy trochę uspokoi.
Jam też marzył po kryjomu,
Że wypocznę trochę w domu...

Gdy już święta były blisko,
Ruch się zrobił jak w mrowisku.
Więc: sprzątanie, szorowanie,
Tudzież generalne pranie.
Ni poczytać, ni posiedzieć,
Więc się zrywam po obiedzie.
Już na schodach, już za bramą...

Do znajomych!...
Tu to samo.
I wciąż marzę po kryjomu:
— Ach, odpocznę wreszcie w domu!...

Mija tydzień i — męczarnia:
Dom wygląda jak szpiarnia.

Zadość się tradycji stanie,
Ale któż to zjeść jest w stanie?

Dania gonią się nawzajem,
Żona pyta... czy się najem.

Aby nie zaś nie zostało,
Familijkę naszą całą
I znajomych spraszam mnóstwo
Na świąteczne rybołówstwo.

Wszyscy stawiają się w komplecie,
No, bo święta, sami wiece.
A gdy zjedzą z apetytem,
To my do nich — z rewią zytą.

...Więc wędrując dziś po mieście,
Marzę sobie ze łzą w oku:
— Ach, gdy święta przejdą wreszcie,
Będzie w domu święty spokój!

W. Scisłowski: FELIETON NIEŚWIĄTECZNY • PRZYGODA •

Ponieważ na temat świąt napisano dotychczas 6743 frazki, 8578 humoresk i 3276 wierszy — nie ma właściwie o czym już pisać. Problemy: gości, porządków domowych, obżarstwa, zwierząt mówiących ludzkim głosem, prezentów i potraw są tak doszczętnie wykorzystane i „rozpracowane”, że nawet Mickiewicz nie by tu nie poradził, nie mówiąc już o Deglerze, Mikolajczaku i niżej podpisanym. Poza tym dałem słowo honoru wszystkim znajomym, że nie będę „odświeżał” utworów drukowanych parę lat temu, chociaż osobiście uważam, że i tak ich już nikt nie pamięta...



— Sam mówiłeś, że do mnie w nocy przyjdzie gwiazdor...

A Dziadzio Mróz!

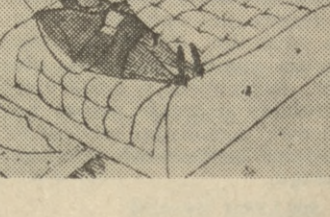
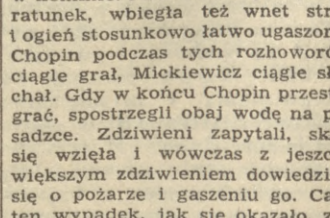
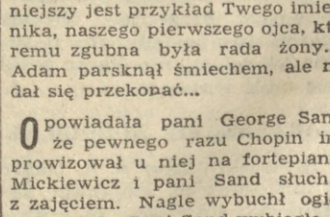
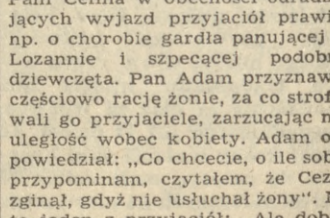
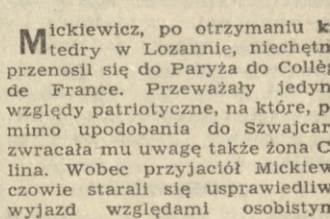
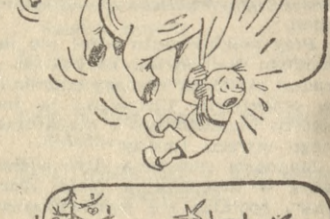
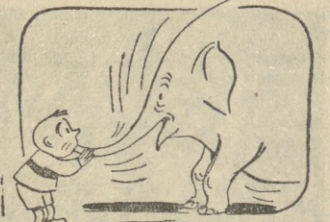
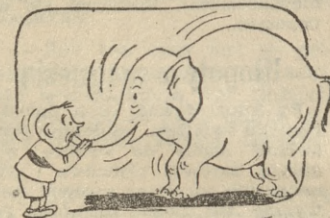
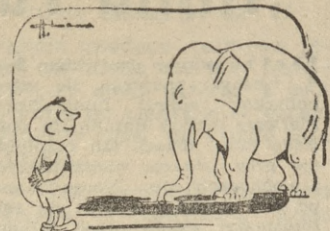
— Jaki znów Mróz? — zakrzyknął chórem humorysty od siedmiu boleści. — Dziadzio Odwilż!! Nie czytacie felietonów Putramenta?? Coca-cola podobno nie jest znów taka zła, niebawem rozpoczyna się w Warszawie rozmowy na temat uruchomienia pierwszych coca-kiosków. Dewizy. Współistnienie. Ktoś powiedział: Wolę coca-cola od naszej monopolówki. Ale to już sprawa gustu i podniebienia.

Zaraz, zaraz. Odbiegłem nieco od zasadniczego tematu — to znaczy od nie-pisania o świętach. No, więc jeszcze — my — zimne ognie — oni — zimna wojna. My — karp po polsku — oni dynamit w puszkach. Jakże to wszystko uroczę...

A gdy wszędzie pierwsza gwiazda (pokoju), składając życzenia — będziemy sobie oczywiście życzyć nowych 5 milionów roboczogodzin w nowym, normatywnym ujęciu, w oparciu o... Oczywiście, o plan pięcioletni.

Podyskutujemy pod choinką o szybkościowym skrawaniu, ciocie kupię w prezencie Rocznik Statystyczny — niech wie jak wzrastamy. Bo ode mnie już się nie dowie. Muszę niestety kończyć, ze względu na wymiary „Głosu”, a poza tym słyszę właśnie alarmujący dzwonek.

I jednak nie obyło się bez gości!!



Paweł Rewicz: BYWA i TAK

W ramach kapitalnych remontów nawierzchni ulic wleciał w kapitalną dziurę i jęknął po linii bólu, zwichnął bowiem sobie nogę na bazie kamienia.

— Kto tu jęczy? — zamruczał szczupły człowieczek w okularach i pochylił się nad dziurą.

— Ja — odparł i wskazał kciukiem na własny nos. — Zwichnąłem sobie cokolwiek nogę i wdzięczny będę za udzielenie pierwszej pomocy.

Szczupły człowieczek wyjął z teczek plik papierów, zatem perował ołówkiem i przykucał wszyszy na krawędzi dziury rozpoczął normalny tok urzędowania.

— Nazwisko, imię? Miejsce urodzenia? Przynależność intelektualna i w ogóle? Czy opłaca regularnie składki Stowarzyszenia Popierania Astrofizyki? Jeśli nie, co nim powoduje? Czy zna 114 paragraf 4-tego ustępu odnoszącego ustawy Małego Regulaminu Wielkich Dziur? Kto mu pozwolił wlecieć do poniższej dziury? NIKT?! Wleciał bez zezwolenia! Będzie wobec tego musiał napisać podanie, dołączyć załączniki i zaczekać na decyzję. Wyjdzie z dziury, ale tylko drogą służbową.

Szczupły człowieczek odkaslnął, westchnął, schował papiery i odszedł. W chwilę później nad dziurą zatrzymały się dwie niewiasty.

— Bardzo przystojny — rzekła pierwsza do drugiej.

— Podobny nawet z profilu do Gary Coopera — odparła druga pierwszej.

— Ma śliczne oczy o aksomitnym spojrzeniu. Jak myślisz, wypada w tych okolicznościach nawiązać kontakt towarzyski?

— Raczej nie. To jakiś gbur. Nawet się nie przedstawił. — Wzruszyły ramionami, przypudrowały nozdrza i poszły sobie.

Nie upłynęła minuta, gdy do dziury zająrzęła jego żona.

— Leon?! Ty tutaj?! — zaszczebotała. — Co za dziki pomysł! Od godziny czekamy na ciebie z obiadem, a ty jak gdyby nigdy nie siedzisz sobie w tej dziurze? — No, pa, kochanie! Mam zamówionego fryzjera. Matka poszła do ciotki. Obiad stoi na piecyku. Odgrzej sobie, a potem zmyj naczynia. Pa, najdroższy!

Jęknął głucho. W tym momencie nad dziurą stanął dyrektor.

— Pan tutaj? — wycodził.

— Pan siedzi i nic nie robi?

— Panie dyrektorze, ja...

— Proszę mi nie przerywać! To karygodne! To skandaliczne! My zwiększamy tempo! Aktywizujemy, mobilizujemy! A pan? Pan lekce sobie waży! Pan bumeluje! Pan siedząc w dziurze wlece się w ogonie! Niebawem niesubordynacja! Daję panu dwie minuty na wyciągnięcie właściwych wniosków! Cześć pracy!

Wnioski wyciągnął po minucie, po dwóch wyskoczył z dziury, kwalifikując się do finałów okręgowych mistrzostw lekkoatletycznych. Dziura bowiem głęboka była na 3 metry.



J. Przybysz: PRALNIA

Zaniosłem bieliznę do pralni.

Pralnia nosiła nazwę Punktu Usługowego nr 3 Spółdzielni Robotniczej nr 4. Nad półkami wisiał transparent „Moja pralnia świadczy o mnie”, na półkach — jako symbol czystości — leżała brudna bielizna. Zauważyłem, że bieliznę tę — jako wypraną — wydawano klientom. Obsługa była czysta, lecz opryskliwa.

Polecono mi przyjść za trzy tygodnie.

Po trzech tygodniach powiadzano, że za tydzień, a po tygodniu, że za dwa. Zabrało trochę czasu. Dwie praczki zachorowały na krwawą biegunkę. Kocioł pękł.

Odbierając bieliznę cieszyłem się z powrotu praczek do zdrowia, z przedterminowej naprawy kotła i uzdrowienia dystrybucji proszku. Radość moja zgasiła, gdy stwierdziłem brak jednej koszuli. Stwierdziłem, niestety, w domu. Pretensji nie uznano. Reklamuje się przy odbiorze.

W miesiąc później znów zaniosłem bieliznę do pralni.

Pralnia była ta sama, bielizna też. Z wyjątkiem jednej koszuli, której już nie było.

Polecono mi odebrać po 3 tygodniach, przyszedłem po czterech. Powiedziano mi, że tak się nie robi. Niepunktualni klienci są największą plagą Spółdzielni nr 4.

Wyszedłem zawstydzony, przeliczając, ile odbieram. Nie brakowało mi. W domu oglądałem szczegółowo. Bielizna była dziwnie szara, w jednym z prześcieradeł wycięto dziurę wielkości pocztówki.

Chciałem reklamować. W spółdzielni rozpoczął się remont.

„Modre” — wyjaśniono, z miejsca reagując na krytykę.

Wyszedłem z poczuciem własnej ignorancji, a po miesiącu znów powróciłem.

Przyniosłem bieliznę do prania.

Gdy ją odbierałem, z nawiązką przeliczyłem i zbadałem.

Bielizna była pozornie ta sama, choć poznałem ją z trudem. Oberwano większość guzików. Wyszarpiano kilka dziur. Ponadrywano szwy. Przypalono koronki. „Modre” od poprzedniego prania nie zeszło.

— To atrament — rzekłem tonem nieubliżanym.

Ruchem obojętnym podano mi książkę zażaleń.

— Niech pan wpisze — powiedziano. — Do nas ma pan pretensje? Czy my pierzemy?

Wyszedłem.

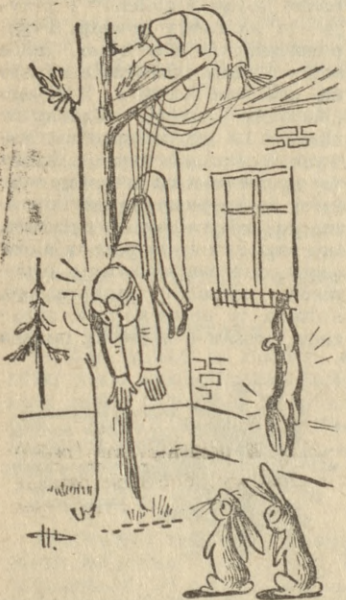
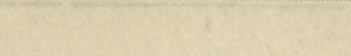
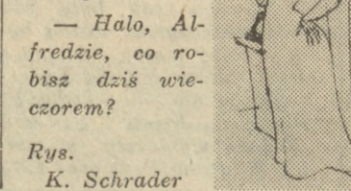
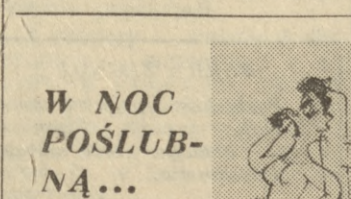
Bielizna była szaro-bura.

Nad wejściem do pralni wisiał bluźnierczy slogan:

„Z honorem wykonujemy zadania planu sześcioletniego”.



Bez słów (Uilenspiegel — Amsterdam)



— Jak myślisz, czy ten też będzie tak długo wisiał??

Mój pogląd na aforyzm

„Kobiety nie bij nawet kwiatem” — bardzo słuszne przysłówie!
Bo nie poczuje — a poza tym kwiatów szkoda, panowie!!!
Wirus

Sprawy hollywoodzkie

Znanego w Los Angeles lekarza zbudziło w nocy uporczywe dzwonięcie telefonu. Dzwoniła znakomita gwiazda hollywoodzka, jego stała pacjentka.

— Doktorze — mówiła zdenerwowana — niech pan natychmiast przyjeżdża do mnie! Mój mąż zachorował i jestem pewna, że ma atak ślepej kieszki.

— Niech się moja droga pani uspokoi — odpowiedział doktor. — Wyciąłem wyrostek robaczkowy mężowi pani już w roku ubiegłym. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ktoś miał dwa wyrostki robaczkowe.

— Możliwe, że pan nigdy o tym nie słyszał — rozgniewała się artystka. — Ale pan na pewno słyszał, że niektóre gwiazdy filmowe miewają więcej niż jednego męża?

Wrócił z teatru

Przyszedłem do domu po spektaklu i potem całą noc spać nie mogłem.

— Co, tak się zdenerwowałeś?

— Nie, wypałem się już uprzednio dobrze na sztuce.

Szuka przeciwnictwa

Jeśli kogo zdolata pokochać — zwierzała się Krystyna — to tylko... moje przeciwnictwo.

— O, to będzie bardzo trudne — zażartował. — Na świecie nie spotyka się wcielonej doskonałości.



— Choinkę mam wspólną

Wszystkie rysunki świąteczne Henryka Derwicha.